

„To se nevratí”. O fenomenie Wrocławia schyłku lat sześćdziesiątych ze Stanisławem Srokowskim rozmawia Marcin Bradke

Marcin Bradke: Do Wrocławia trafiłeś na stałe w roku 1968, choć wielokrotnie bywałeś tu wcześniej. Przyjechałeś – najogólniej mówiąc – w okolicznościach mało komfortowych.

Stanisław Srokowski: Tak, to było po pamiętnym marcu '68. Pracowałem wówczas jako nauczyciel w legnickim Technikum Elektroenergetycznym i wyszedłem z młodzieżą na ulicę, by zaprotestować przeciwko zdjęciu Dejmkowych *Dziadów* z afisza. Krótko mówiąc – straciłem pracę, nachodziła mnie bezpieka i dostałem tzw. wilczy bilet. W całej okolicy nie było dla mnie miejsca. Tak trafiłem do Wrocławia.

M.B.: Przyjechałeś pod koniec 1968 r., w październiku. Gdzie znalazłeś zatrudnienie?

S. Srokowski: W Klubie Seniora, w którym już starszaków nie mogłem wyprowadzać na ulicę. Warunki w wynajętym mieszkaniu były koszarne. Zimą w pokoju panował syberyjski chłód. Często nie dojadłem. Powoli natomiast zacząłem poznać wrocławski świat artystyczno-literacki.

M.B.: Byłeś już rozpoznawalny jako pisarz. Debiutowałeś jako poeta i prozaik w Opolu w 1958 r.

S. Srokowski: To prawda. Byłem w środowisku już trochę znany. Sam też na długo przed przyjazdem do Wrocławia spotykałem co ważniejszych pisarzy.

W klubie „Parnasik” w Legnicy organizowałem bowiem spotkania z literatami i artystami. Bywali tam między innymi Tymoteusz Karpowicz, Romuald Cabaj, Zbyszek Cybulski, Henryk Worcell, Andrzej Łapicki, Ryszard Pollak (dziennikarz) i wielu innych. Ale lepiej zacząłem wchodzić w ten świat dopiero we Wrocławiu. Łaziłem po knajpach i klubach. Szczególne wrażenie robił Klub Związków Twórczych. Zjawiała się tam elita artystyczna miasta, cała bohema tamtego czasu. A kiedy po kilku latach zostałem korektorem, potem reporterem w tygodniku „Wiadomości”, trafiłem też do Klubu Dziennikarza. Zacząłem na dobre poznawać środowisko dziennikarsko-artystyczne i uczestniczyłem w swoistym „szaleństwie wyobraźni”. Byłem zakochany w przedwojennej awangardzie poetyckiej, w twórczości Juliana Przybosia, Jana Brzękowskiego, Jalu Kurka. A we Wrocławiu fascynowała mnie poezja Tymoteusza Karpowicza. Była bliska tego, co sam uprawiałem. Zrywała ze skostniałymi schematami, konstruowała nowy typ wrażliwości językowej. Odbyłem z nim pierwsze ważne rozmowy, publikował moje wiersze, przekłady. Uznał, że idę dobrą drogą. Rozumieliśmy się.

M.B.: Jaki był prywatnie?

S. Srokowski: Stary, silny żubr kresowy. Może dlatego nawiązała się między nami nić sympatii. Jaki



Stanisław Srokowski. Fot. ze zbiorów prywatnych S. Srokowskiego

był? Ciepły i sympatyczny. Głównym tematem naszych pierwszych rozmów były Kresy. Karpowicz uważał, że ludzie pochodzący stamtąd wnoszą do literatury nowy pierwiastek. To był człowiek bardzo zdyscyplinowany. Nie babrał się w polityce i ideologii. Nigdy nie wdał się w romans z „realizmem socjalistycznym”, który poczynił w literaturze polskiej niepowetowane szkody. A poddała mu się w latach 1949–1956 niemal cała klasa pisarska, Broniewski, Szymborska, Braun, Strykowski, Konwicki, Ścibor-Rylski i inni. Karpowicz nie! Był twardy i bronił zasad wolności twórczej. Nie miał jednej ręki, chodził zawsze z plecakiem, był powściągliwy w wypowiedziach i radykalny w poglądach artystycznych. We Wrocławiu powstał nowy nurt w polskiej poezji, zwany dziś poezją lingwistyczną. Karpowicz miał w nim zasadniczy udział. To była poezja wieloznaczna, bogata w sensory, zagadkowa, od środka rozprawiła się z komunistyczną ideologią. Cenzura sobie z nią nie radziła. Nie rozumiała jej.

M.B.: Kolejna postać na twojej drodze, a jednocześnie przyjaźń, to Rafał Wojaczek.

S. Srokowski: Może nie przyjaźń, ale dobra, przyjazna znajomość. Wojaczek pojawił się we Wrocławiu w roku 1964, cztery lata przede mną.

Momentalnie zabłysnął oryginalną poezją i bulwersującym sposobem bycia. Towarzyszyła mu aura skandalisty, którą tutaj umiejętnie ugruntowywał. Poznaliśmy się na jednym z wieczorów autorskich i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Spotykaliśmy się w Klubie Dziennikarza lub w Związkach Twórczych, gdzie Rafał nieustannie urządzał awantury, przewracał stoliki, rzucał butelkami, a nawet potrafił uderzyć kogoś w twarz. Raz powiesił na szelkach szatniarza, który nie chciał go wpuścić do klubu. Kiedy indziej wyszedł z Klubu Dziennikarza przez okno...

M.B.: Wrocławski François Villon...

S. Srokowski: Prawie, ale w żadne nożownicze afery nie był zamieszany, choć siedział w kryminale i przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Napisałem o nim książkę *Skandalista Wojaczek*. Kiedyś szedł przez pl. Kościuszki z dwiema dziewczynami. Na środku placu stał milicjant kierujący ruchem. Wojaczek chciał się przed paniami popisać, podszedł do stróża prawa i z całej siły kopnął go w nogę. Efekt był taki, że zwinęła go milicyjna suka, wywozła za miasto i stamtąd, a było to sporo kilometrów, musiał wracać do Wrocławia na piechotę. Skakał też w czasie imprezy z drugiego piętra...

Stanisław Srokowski – pisarz, poeta, dramaturg, tłumacz, krytyk literacki, publicysta i nauczyciel akademicki. Urodzony w roku 1936 we wsi Hnilcze w powiecie podhajeckim na Kresach był świadkiem rzezi dokonanej na ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów. Po wojnie osiadł z rodziną na tzw. Ziemiach Odzyskanych – w Mieszkowicach w województwie szczecińskim. Absolwent polonistyki na WSP w Opolu. Debiutował w roku 1958 jako poeta i prozaik. Związany początkowo z Legnicą, a od roku 1968 – z Wrocławiem. W latach sześćdziesiątych współtworzył bohemę artystyczną naszego miasta. Krąg jego znajomych i przyjaciół stanowili, między innymi, Tymoteusz Karpowicz, Rafał Wojaczek, Henryk Worcell, Wojciech Jerzy Has, Zbyszek Cybulski, Jerzy Grotowski i Stanisław Dróżdź. Autor jedenastu tomików poetyckich, dziewiętnastu powieści, trzech zbiorów opowiadań, książek dla dzieci i młodzieży, sztuk teatralnych i radiowych, scenariusza filmowego (film Ryszarda Czekaja „Przekłeta ziemia”) i biograficznej książki „Skandalista Wojaczek”. W roku 2016, na podstawie jego zbioru opowiadań „Nienawiść”, powstał film Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń”. Wrocławianin i Kresowianin w jednej osobie.

M.B.: Ciężki zawodnik.

S. Srokowski: Owszem. Chciał koniecznie zwrócić na siebie uwagę. A był przy tym wybitnym poetą, zbuntowanym przeciwko komunistycznemu systemowi. Lubilem go, choć czasami stawał się nieznośny.

M.B.: Kolejna postać to Jerzy Grotowski...

S. Srokowski: Spektakl *Apocalypsis cum figuris* stał się w 1968 r. wielkim światowym wydarzeniem. Dzięki niemu Wrocław odwiedzały najślawniejsze postacie ze świata sztuki, Peter Brook, Eugenio Barba, pisarze, reżyserzy, aktorzy, malarze światowego formatu. Przybywali z wielu krajów Europy, Azji i Ameryki.

M.B.: Co było tak bardzo wyjątkowego w twórczości Grotowskiego?

S. Srokowski: Jego teatr łamał wszelkie schematy i konwencje, podobnie jak poezja Karpowicza, Wojaczka i Staszka Dróżdża, o którym jeszcze powiem. Wrocław stawał się centrum światowej awangardy. Prymitywne, komunistyczne prostackie agitki w literaturze i sztuce nie miały z nimi żadnych szans. W teatrze Grotowskiego nie było podziału na widownię i scenę, nie było tradycyjnej dekoracji i kostiumów, nie było tradycyjnej muzyki ani tekstu

literackiego w klasycznym rozumieniu. To był zbiór cytatów z Biblii, pieśni kościelnych, Dostojewskiego, Eliota i Simone Weil. Aktorzy sami tworzyli partyturę dzieła, najważniejszą rolę odgrywało ludzkie ciało, naturalnie, w filozofii wyznaczanej przez genialnego reżysera. Jak na owe czasy to był bunt ideowy, nie tylko artystyczny.

M.B.: Czy Wrocław lat sześćdziesiątych był swoistą mekką kultury awangardowej?

S. Srokowski: Oczywiście, nie było drugiego takiego miasta. Dodajmy jeszcze do awangardy twórczość Stanisława Dróżdża, mistrza poezji konkretnej, łączącej język poetycki z językiem plastyki, tworzącej nowy wyraz. Jego dzieła znajdują się obecnie w najważniejszych galeriach świata.

M.B.: Poznałeś też Henryka Tomaszewskiego i jego teatr pantomimy.

S. Srokowski: Tak. Tomaszewski stworzył unikalny teatr gestu, ruchu, słowem – pantomimę, genialną w owym czasie. Na tyle genialną, że nawet Marcel Marceau i inni wybitni twórcy światowej sławy przyjeżdżali tutaj i się nim zachwycali. Podobnie jak Grotowskim. Z kolei ciekawy nurt surrealistyczny na polskim gruncie zaszczeplił w poezji Janusz Styczeń. Dodajmy do tego niepokorną grupę



Rafał Wojaczek. Fot. S. Kokurewicz / Ośrodek "Pamięć i Przyszłość"

artystów plastyków, tworzących ruch intelektualny w dziełach wizualnych. Przewodził im Jerzy Ludwiński, ceniony teoretyk sztuki, krytyk i popularyzator nowoczesnej wizji artystycznej. Nowatorska muzyka zaś to kompozycje Ryszarda Bukowskiego, znakomitego kreatora i wykładowcy akademickiego. Duże znaczenie miały festiwale studenckie, silnie rozwinięta aktywność twórcza młodego pokolenia, z teatrem Kalambur na czele. Wrocław tętnił życiem jak żadne inne miasto.

M.B.: *A Wytwórnia Filmów Fabularnych? Reżyserzy i aktorzy? Choćby Zbyszek Cybulski.*

S. Srokowski: Kapitałny artysta, wielokrotnie się spotykaliśmy, wywodził się z Kresów, wspominał tamte straszne czasy, ale chyba tylko ze mną rozmawiał o zbrodniach ukraińskich, rozumieliśmy się w pół słowa. Urodzony niedaleko Stanisławowa, fantastyczny kompan przy biesiadach, choć bardzo niespokojny, napięty, miał w sobie ogień. Nigdy nie mógł zgasić tego żywiołu. WFF to cała plejada gwiazd polskich teatrów i kina. Pamiętam długie nocne rozmowy z Wojciechem Hasem, najwybitniejszym polskim reżyserem wszech czasów, a przy tym skromnym i powściągliwym, choć wyrazistym w sądach. Siedzieliśmy przy ormiańskim koniakowi i rozmawialiśmy o jego najbliższych planach.

Chciał nakręcić film na podstawie Zbrodni i kary Dostojewskiego. Niestety, nie zdążył.

M.B.: *Wrocław lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jawi się jako miasto niepokoju twórczego i awangardy...*

S. Srokowski: O, tak. Wrocław tętnił nowością, buntem, protestem. We Wrocławiu odrzucaliśmy wszelkie formy dzieł konwencjonalnych, starych, ogranych form. Sztuka i literatura musiały być wielkie poprzez nowoczesne, awangardowe środki wyrazu, poprzez nową filozofię myślenia, poprzez przełamywanie schematów. A dla socjalizmu to był cios. Chcieliśmy widzieć człowieka w całej jego złożoności i skomplikowaniu, a nie w komunistycznej szarzyźnie i nudzie; a społeczeństwo zdolne do wolności. Literatura i sztuka wyzwała intelektualny krytycyzm.

M.B.: *Nie powiedzieliśmy o jeszcze jednej postaci, będącej takim twoim „bratem kresowym”. Reżyser, filmowiec...*

S. Srokowski: No tak, Sylwester Chęciński. Człowiek naładowany energią kresową, czego dowodem była jego trylogia: *Sami swoi*, *Nie ma mocnych* i *Kochaj albo rzuć*. Często można go było spotkać w Klubie Dziennikarza, lubił grać w karty, a tam się znajdował



Jerzy Grotowski. Fot. S. Kokurewicz / Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

specjalny stolik dla graczy. Wspomnijmy jeszcze o jednym wspaniałym Kresowiaku, Andrzeju Waligórskim, gorliwym i wybitnym satyryku. Zwróć uwagę na jedną rzecz – czegokolwiek dotkniemy, to jest to jakaś nowość, odmienność, oryginalność, bunt. Satyra to także bunt przeciwko zastanej rzeczywistości. Waligórski stworzył kabaret, zresztą tych kabaretów było więcej. Wszystko, o czym mówimy, to dowód na to, że Wrocław był wyjątkowym miastem, niedoścignionym wzorem w Polsce, Europie, a może nawet w świecie. Największy aktor teatru Grotowskiego, Ryszard Cieślak, znalazł się później wśród największych aktorów europejskich i światowych. Mówiono o nim, że to aktor totalny. Drugiego takiego w owych czasach nie było.

M.B.: Na czym twoim zdaniem polegał fenomen Wrocławia schyłku lat sześćdziesiątych i czemu to się dalej nie rozwinęło? Czemu się skończyło?

S. Srokowski: Sztuka się wyczerpuje, tak samo jak cała biologia, jak życie. Teatr Grotowskiego doszedł do granic. Żaden teatr już później nie poszedł dalej. Poezja lingwistyczna też osiągnęła swój szczyt, choć jej różne odłamy funkcjonują do tej pory. Ta wielka twórcza energia skończyła się we Wrocławiu, ale poszła w świat. Znałem tych ludzi, z wieloma się przyjaźniłem. Każdy z nich był inny, choć każdy był

buntownikiem, mającym w sobie ogromny ładunek niezgody na ówczesną rzeczywistość.

M.B.: Wrocław wciąż ma pisarzy, reżyserów, aktorów, teatry, galerie sztuki. Ale czy – twoim zdaniem – ma szansę na twórczy renesans?

S. Srokowski: Taka „pulsacja twórcza” już szybko się nie powtórzy. Musiałyby się pojawić wielkie indywidualności, potężne charaktery, a to się na co dzień nie zdarza. Potrzebny byłby duch odnowy, a ja go nie widzę. Brniemy w jakichś tanich maneryzmach, w pustym naśladownictwie Zachodu, nie poszukując w samych sobie, w swoich narodowych polskich tradycjach impulsu dla odbudowy wielkich idei. Polska najbardziej potrzebuje dzisiaj właśnie wielkich idei, także w literaturze i sztuce. Zmienił się wektor duchowy świata. To, co było, jak powiadają bracia Czesi, „to se nevrati”.

M.B.: Ale radość z tego, że uczestniczyłeś w tym wrocławskim twórczym fermentem przed półwieczem, pozostaje. Byłeś jednym z najważniejszych autorów szkoły lingwistycznej.

S. Srokowski: To prawda. Wszystkim twórcom i odbiorcom dzieł artystycznych życzę podobnych doświadczeń i przeżyć. Literatura i sztuka dają nam szansę głębszego samopoznania.